

Zdzisława Donat –
słynny sopran
koloraturowy



Zdzisława Donat , fot. arch. prywatne artystki
Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Urodziła się Pani w Poznaniu w rodzinie miłośników muzyki. Ojciec Kazimierz - przedsiębiorca - był wielkim melomanem, matka Maria - sopran - ukończyła prywatną szkołę muzyczną, debiutowała przed wojną w Filharmonii Poznańskiej i Polskim Radiu. Po II wojnie światowej uczyła gry na fortepianie i akordeonie. Pani siostry: Teodozja (dr laryngolog-foniatra) i Kinga (dr psycholog,

muzykoterapeuta) ceniły muzykę i śpiew. Jak zapamiętała Pani atmosferę domu rodzinnego?

Zdzisława Donat:

Dom był pełen muzyki. Matka grając na fortepianie śpiewała nam do snu kołysanki m.in. Mozarta, Brahmsa. W czasie okupacji odbywały się w naszym mieszkaniu tajne, zakazane koncerty. Matka śpiewała swym pięknym koloraturowym sopranem, akompaniował jej młody syn Feliksa Nowowiejskiego – Kazimierz. Także sam kompozytor prezentował swoje utwory. Wraz z siostrami uczyłam się gry na fortepianie, z rodzicami chodziłam do filharmonii i opery. W dzieciństwie – pamiętam – rodzice popisywali się również moją koloraturką. Ukończyłam Politechnikę Warszawską w specjalności przyrządy optyczne, jednak pozostałam wierną muzyce i kontynuowałam równoległe studia muzyczne .

Chcę przywołać wybitną pisarkę emigracyjną blisko z Panią spokrewnioną Danutę Mostwin, która zmarła w 2010 roku w Baltimore. Mówiła o Pani zawsze z dumą. Jak ją Pani pamięta?

Danutę, żonę mojego kuzyna Stanisława Niedbała, poznałam gdy przyjechała do Polski w latach 80., wcześniej nie mogła ze względów polityczno -ustrojowych. Ofiarowała mi swą książkę

„Dom starej lady” (1958 r.) o losach byłych polskich żołnierzy, którzy pozostali w Anglii na emigracji, i „Szmaragdową zjawę” (jedną z części rodzinnej sagi) z przemiłym wpisem: *Zdzisi dzielnej, uroczej i kochanej przypominając czasy, które stają się historią, autorka, W-wa 14 lipca 1989*. Później podarowała mi wydaną w Londynie wspaniałą „Tajemnicę zwyciężonych” (1992) o Polakach walczących w czasie okupacji, połączonych wspólną tajemnicą, w tym o bohaterskich Cichociemnych, pilotach zrzuconych do kraju. Należał do nich także jej mąż Stanisław Niedbał ps. Bask. Zrzucony 10 maja 1944 r, miał wtedy 27 lat, był jednym z 29-u emisariuszy i kurierów Rządu Polskiego na Emigracji.

Które książki Danuty Mostwin szczególnie Pani ceni?

„Odchodzą moi synowie” i biograficzną „Tajemnicę zwyciężonych”; w książce „Trzecia wartość” zainteresowały mnie poruszane problemy przystosowania się rodzin emigrantów do nowych warunków życia.

Studiowała Pani śpiew w Warszawie i w Sienie, gdzie Pani nauczycielem był włoski baryton Gino Bechi, znany ze śpiewania m.in. Giuseppe Verdiego. Jak wspomina Pani pierwsze spotkanie z tym sławnym barytonem?

Z Ministerstwa Kultury otrzymałam stypendium na studia w

Accademia Chigiana. Byliśmy wraz z Andrzejem Saciukiem i Markiem Dąbrowskim dobrze „zapowiadającymi się” młodymi artystami. G. Bechi powiedział do mnie: *Bella voce, che bella voce!* Ale śpiewaj: *con gli occhi, con cuore* (oczami, sercem). Zapamiętałam także: *meglio una nota brutta ma con cuore* (lepszą nuta brzydka, lecz zaśpiewana z sercem).

W życiorysie czytam, że zaobserwowała Pani, że wielu znanych śpiewaków operowych, na przykład Bogna Sokorska, Bernard Ładysz czy Bogdan Paprocki, występowało początkowo w zespołach wojskowych. Po lekturze ogłoszenia w prasie, że Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego poszukuje solistów, zgłosiła się Pani na przesłuchanie i została solistką tego Zespołu zdobywając pierwsze kroki estradowe, przełamując treść. Jak po latach patrzy Pani na ten okres?

Była to dla mnie swoista lekcja występów przed publicznością, oswajanie tremy. Dziś brzmi to dziwnie, ale wtedy w szkołach muzycznych nie było jeszcze zajęć z aktorstwa, treningów autogennych, ani studenckich przedstawień na deskach operowych. Obecnie młodzi mają taką szansę w ramach kształcenia. Dlatego dla mnie ta praktyka była zbawienna.

Debiutowała Pani w Poznaniu jako Gilda w „Rigoletto”, wystąpiła potem w Warszawie, także w Monachium,

Buenos Aires, Rzymie, Pradze, Neapolu, Brukseli, Moskwie, Helsinkach, Wiedniu, Weronie, Japonii. Była Pani pierwszą - po Adzie Sari - Polką po II wojnie światowej, która partię Królowej Nocy śpiewała na scenie mediolańskiej La Scali. To było wielkie przeżycie i wielka radość także dla Polski.



Zdzisława Donat, Grand Theatre de Geneve, fot. arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, Gaertnertheater, Monachium 1972 r., fot. arch. prywatne artystki

Słynną partię Królowej Nocy w „Czarodziejskim Flecie” W. A. Mozarta śpiewała Pani w 52 teatrach operowych (swoisty rekord!) - między innymi w *Covent Garden*, na największych scenach świata, także w Stanach Zjednoczonych: w operze San Francisco i w *Metropolitan Opera*, w Seattle. Również na *Arena di Verona* z kilkudziesięcioma śpiewakami w słynnym wielogodzinnym

wieczorze „Opera for live”. A w MET-Opera w 80 lat po naszej sławnej Marcelinie Sembrich-Kochańskiej. Jak Pani pamięta amerykański okres?

W 1975 roku występując w operze San Francisco jako Królowa Nocy znalazłam w programie przy swoim nazwisku dwie gwiazdki – tak podkreślano wtedy amerykański debiut śpiewaczki! W 1981 r. w *Metropolitan Opera* w Nowym Jorku śpiewałam Królową Nocy w przyciągających dodatkowo publiczność dekoracjach i kostiumach projektu Marc’a Chagall’a. Mówiło się, że była to największa wystawa malarstwa żyjącego artysty. Wspominam z przyjemnością moich wybitnych partnerów, jak: Kathleen Battle, Lucia Popp, Matti Salminen, Martti Talvela, Christian Boesch, Tom Allen, David Rendall; znakomitą akustykę, publiczność i niezwykłą atmosferę tego wspaniałego teatru.

Nagrała Pani „Requiem, Missa pro defunctis” Romana Maciejewskiego dyr. T. Strugała (Polskie Nagrania), operę Paisiella „La serva padrona” dyr. J. Dobrzański (PN), arie operowe na „Z. Donat. Sławni polscy śpiewacy” (PN vol.8).

Opery: „Die Zauberfloete” Mozarta pod dyr. James Levine (RCA), „Die Entfuehrung aus dem Serail” Mozarta, dyr. G. Bertini (ZDF), „Der Schauspieldirektor” Mozarta dyr. F.Layer (ORF). Koncert: „Arena di Verona - Opera for

Africa” dyr. R. Paternostro i inne . Śpiewała Pani „Te Deum” Pendereckiego, „Chrystus na Górze Oliwnej” Beethovena...

Zdobyła Pani *Premier Grand Prix* na Międzynarodowym Konkursie Śpiewu Solowego w Tuluzie (1967) i w ramach nagrody wystąpiła w Opera du Capitole jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim” (wykonując po francusku wersję sopranową tej partii). Pisano, że stworzoną dla Pani głosu była rola Łucji z *Lammermoor* (1968). Prawdziwy zachwyt wzbudzała Pani w repertuarze Mozarta i Pani śpiew w „Czarodziejskim flecie” został legendą. W „Czarodziejskim flecie” w roli Królowej Nocy olśniła Pani Monachium i inne miasta Europy. Występowała Pani jako Królowa Nocy na scenach w Mainz, Teatro San Carlo w Neapolu, Hamburgu, Norymberdze, wiedeńskiej *Staatsoper*, Wiesbaden, Frankfurcie, Mannheim, Luxemburgu, Seattle, Portland, Vancouver, Tokio, Atenach i innych.

Prasowe relacje były znakomite - pisano z zachwytem o Pani głosie w „Opera News”, „The Observer”, „The Sun”. Pani Zdzisławo, czy dla Pani Mozart był i jest najwspanialszym kompozytorem?

Mozart uprawiał wszystkie gatunki muzyczne swojego czasu - każdy jest szczytem doskonałości. Brawurowe koloratury,

sięgające stratosferycznych rejestrów głosu w jego ariach operowych – ariach Królowej Nocy, M-me Herz oraz w ariach koncertowych jak „Popoli di Tessaglia”, „Mia speranza adorata”, fascynowały mnie i były kuszącym wyzwaniem. Śpiewałam wszystkie możliwie dostępne dla mego rodzaju głosu jego utwory i po zapoznaniu się przechodziłam z takim samym entuzjazmem do poznawania dzieł także innych kompozytorów. Fascynował mnie K. Szymanowski: „Stabat Mater”, „Litania do Najśw. Marii Panny” itd, itd.... I to jest wspaniałe w moim zawodzie, stale można poszukiwać i ten zachwyt nad nowo poznaną pozycją repertuarową przekazać dalej słuchaczom.

Śpiewała Pani niejednokrotnie tę samą operę w kilku językach. Czy jest to swoiste wyzwanie dla śpiewaczki?

Role operowe jak np. Łucję, Gildę, Rozynę, Violetę czy Królową Nocy wykonywałam zarówno w języku niemieckim, włoskim jak i polskim. A tą ostatnią dodatkowo w angielskim. Rozynę także po francusku. Nie stanowiło to dla mnie problemu. Naturalnie trochę czasu potrzeba, aby się przestawić i przypomnieć sobie. Jednak – co jest satysfakcjonująco odczuwalne – że publiczność inaczej, żywiej reaguje, gdy rozumie operę śpiewaną w języku sobie znanym.

Otrzymała Pani piękne recenzje. Po premierze w Monachium dla recenzenta w „Süddeutsche Zeitung” była

Pani niczym postać z miedziorytów z okresu wczesnego romantyzmu, z rycerskich romansów. Jest oszczędna w geście, w śpiewie zaś wyrafinowaną barwę stawia ponad efekciarstwo brzmienia: Scena obłędu, druga perła tej opery, którą z braku innych określeń nazywaliśmy całym łańcuchem uniesień, to najtrudniejsza próba możliwości śpiewaczki o najwyższym poziomie - pisał recenzent „Badische Neueste Nachrichten” po premierze w Karlsruhe. Pięknie pisano w „Frankfurter Allgemeine”: (...) Pani Donat śpiewa koloratury również w legato, pozwala im się rozwijać z melodii jakby przypadkowo i zachowuje przy tym zawsze swój czarowny, dźwięczny tembr głosu, co jej Łucji pozwala uzyskać znacznie więcej wyrazu, aniżeli zdarza się to często nawet przy najwyższej perfekcji.... Czy takie entuzjastyczne recenzje cieszą wciąż po latach?

Artysta czuje się spełnionym, gdy uzyskuje potwierdzenie zarówno u publiczności jak i u recenzentów, że występ się spodobał. Wracam myślami do tego okresu mojego życia i jestem wdzięczna losowi, że pomógł mi przeżyć te wspaniałe chwile kontaktu z widzami. A recenzje, jak wspomniałam, dają świadectwo rezultatu tych wielogodzinnych ćwiczeń, prób i wysiłków jakie wkładamy w naszą aktywność sceniczną.



Zdzisława Donat, fot. Zofia Nasierowska, arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, opera „Czarodziejski flet”. Royal Opera House, Londyn, 1979, fot. Clive Barda, arch. prywatne artystki

Występowała Pani w amfiteatrach na Międzynarodowych Festiwalach Operowych...

Szczególnym wspomnieniem są dla mnie występy na otwartych scenach, jak np. amfiteatr Odeon w Atenach pod Akropolem *Herodes Atticus*. Zachwyca znakomita ich akustyka i lekkość z jaką tam się śpiewa. Niepotrzebne ani nagłośnienie, ani

mikrofony. Głos, jak my mówimy, sam niesie. Podobne wrażenie miałam w amfiteatrze rzymskim w Orange we Francji. W obu, w ramach Festiwalu śpiewałam w „Czarodziejskim flecie” W. A. Mozarta.

Natomiast w *Arena di Verona* – gdzie z inicjatywy Jose Carrerasa wzięliśmy udział we wspomnianym już, wielogodzinnym koncercie na rzecz głodujących w Afryce, cała wielotysięczna widownia na zakończenie powstała i zaśpiewała z nami *Va pensiero* – chór niewolników z opery „Nabucco” Verdiego. Wzruszające...

Nadmienię jeszcze jedną, otwartą scenę, na jeziorze Bodeńskim. Na niej, pływającej wyspie, podczas *Bregenzer Festspiele* wystąpiłam w partii Konstancji w operze „Uprowadzenie z seraju” – Mozarta. Zarówno dla nas, jak i dla publiczności, te sceny stanowią wyjątkowe przeżycia.

Jak pisze Jan Stanisław Kiczor („Pisarze. pl”, 7 sierpnia 2017) - została Pani pedagogiem wokalistyki. W latach 1994-98 prowadziła Pani klasę śpiewu w Akademii Muzycznej w Krakowie (Na tej uczelni nadano Pani tytuł profesora zwyczajnego), później współpracowała Pani z Uniwersytetem Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, a także w Korei Południowej - w kształcącej muzyków placówce powiązanej z warszawską. Czy wielką

satysfakcją jest uczyć młodych ludzi?

Kształcenie w śpiewie jest w moim odczuciu ekscytujące. Dbając o prawidłową emisję, wrażliwość muzyczną, sztukę interpretacji, wspomaga się równocześnie rozwój intelektualny utalentowanej osoby. Powołuje się do istnienia kolejną indywidualność.

Jan Stanisław Kiczor zacytował Pani stwierdzenie: *Nie cierpię dystansu między ludźmi. Co cenię najbardziej? Odpowiedzialność. Czy dalej tak Pani uważa?*

Uważam, że poczucie odpowiedzialności jest zawsze cenne.

Kogo teraz Pani podziwia za śpiew?

Mamy wspaniałą polską szkołę śpiewu. Młodzi artyści zdobywają estrady światowe idąc śladami Piotra Beczały, Mariusza Kwietnia, Aleksandry Kurzak, Artura Rucińskiego, Rafała Siwka i wielu innych.

Osiągnęła Pani sławę i sukces. Jakie jest Pani przesłanie - co liczy się w życiu?

Pasja, praca, uczciwość, przyzwoitość... Odczuwam radość z osiągnięć, mam także świadomość że pochłaniająca mnie całkowicie pasja zawodowa uszczupliła czas dla mojej rodziny.

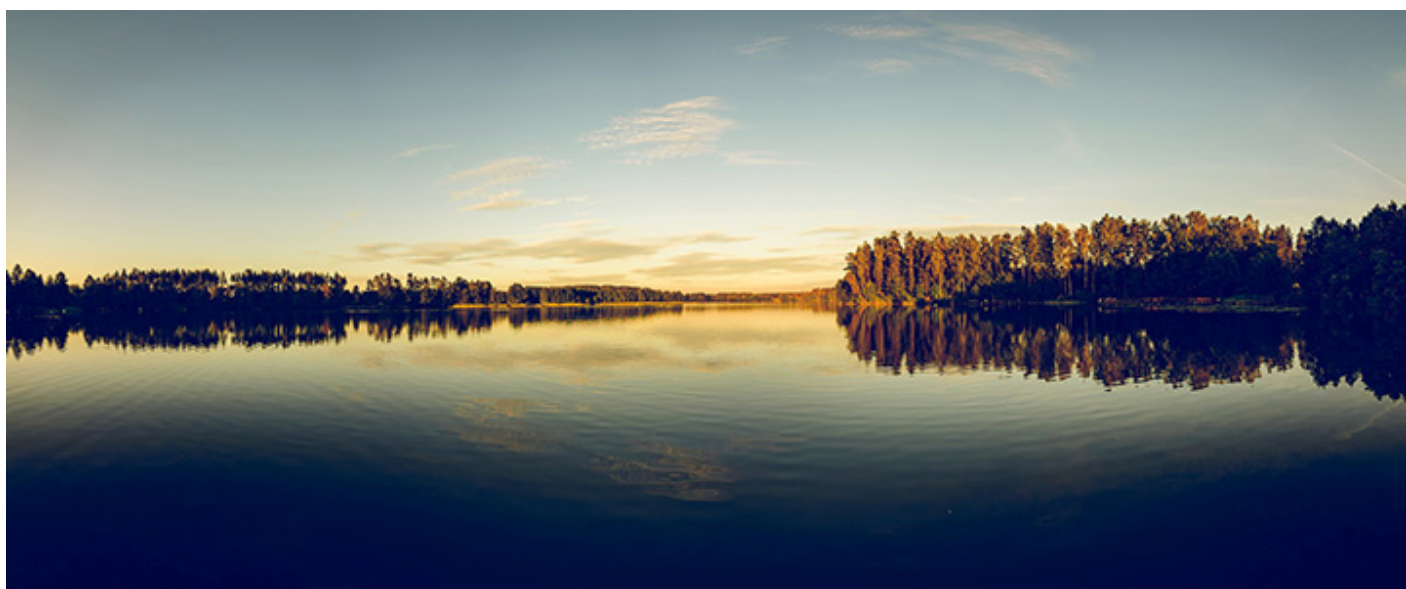
Przepełnia mnie ogromne uczucie wdzięczności dla mego męża śp. Tadeusza i syna Błażeja. Wspierali mnie i pozostawiali swobodne pole działania w podejmowaniu decyzji o występach. Tak dalekich przecież od naszego domu.

Pani Zdzisławo, czy śnią się Pani po nocach występy w wielkich słynnych operach?

Tak. Przypominają mi się wtedy także... chwile przerw w próbach, gdy z moimi partnerami operowymi szybko, ale jakże intensywnie rozmawialiśmy o rodzinach, domu. To nas wiązało w trwałe przyjaźnie. Wspominam np. moje sceniczne córki, Paminy np.: I. Cotrubas, Kiri Te Kanawa, E. Mathis, B. Hendriks, K. Battle... Wspaniałe głosy kolegów, jak K. Moll, P. Schreier, K. Rydl, J. van Damm, E. Tappy, F. Araiza, S. Estes, R. Lloyd, E. Nesterenko i wielu, wielu innych. Na przykład, śni mi się, że kurtyna idzie w górę, stoję na jakiejś scenie... nie wiem gdzie... nie wiem co mam śpiewać... Budzę się i myślę, jak dobrze, że to tylko sen... Uff!...

Wywiad ukazał się [w:] Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Radość ze scenicznych osiągnięć i wdzięczność dla rodziny, „Nowy Dziennik”, NY 17-23 października 2020, s. 26.

Mój dąb w Suwałkach



Fot. Dariusz Sankowski z Pixabay

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)

Pierwszy raz zetknąłem się z Pojezierzem Suwalsko-Augustowskim bardzo dawno, bo w 1954 r. Byłem wtedy na studiach. Mój Ojciec zapalony myśliwy zabrał mnie ze sobą na polowanie na głuszca do Puszczy Augustowskiej. Jest to bardzo rzadki ptak i na jego odstrzał trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie. Ojcu w tym polowaniu towarzyszył wytrawny myśliwy, redaktor naczelny „Łowca Polskiego” Zbigniew Kowalski oraz znakomity fotografik przyrody Włodzimierz Puchalski. Redaktor Kowalski miał uczyć Ojca trudnej sztuki

podchodzenia głuszca. Wymagało to najpierw pójścia wieczorem na tak zwane zapady, czyli wypatrzyć w puszczy, na którym drzewie głuszc zapadnie, aby rano, kiedy tokuje na sośnie wabiąc samicę podejść go i ustrzelić. W czasie toków mniej słyszy, ale i tak jest bardzo czujny i wymaga od myśliwego specjalnych umiejętności.

Rejon naszego polowania znajdował się w leśnictwie położonym blisko śluzy Przewież na Kanale Augustowskim. Zgodnie z planem przed zmierzchem udaliśmy się wszyscy czterej na podchody. Redaktor Kowalski był przedwojennym doświadczonym myśliwym, znał świetnie las i niejednego głuszca w życiu ustrzelił. Wiedział świetnie, na jakiej mniej więcej starej sośnie głuszc może na noc zapaść. My szliśmy ze swoimi dubeltówkami na ramieniu, a Włodzimierz Puchalski z dużym aparatem fotograficznym na piersiach. To była jego broń. Ubrany był w strój myśliwski. Nosił na głowie zielony kapelusz, był w takich samych zielonych gumiakach i w kurtce w kolorze ochronnym. Panowie dobrze się znali i podczas tych podchodów przekomarzali się ze sobą.

Puchalski uznawał tylko bezkrwawe łowy, którą to nazwę sam wymyślił i popularyzował na licznych zdjęciach przyrody, z których był sławny, zamieszczanych między innymi w tygodniku „Przekrój”. Pochodził z Lwowa, miał lwowski akcent i duże poczucie humoru.

- Ty to, braszku, jesteś rzeźnik - mówił do Kowalskiego - Tylko byś mordował te biedne zwierzęta. Co to za przyjemność? Mnie to nie rajcuje. Prawdziwą frajdą jest ustrzelić głuszca z mojego aparatu i go nie zabić. Niech sobie dalej tokuje, śpiewak. Ot co!

Kiedy zbliżyliśmy się do przypuszczalnych zapadów Kowalski nakazał całkowitą ciszę. - Podbiegamy bezszelestnie parę kroków i zamieramy w bezruchu. Nasłuchujemy - pouczał Ojca zapominając o tym, że Tata nie ma jednej nogi, nosi ciężką skórzaną protezę i nie może biegać. Redaktor „Łowca Polskiego” miał jednak dobrego myśliwskiego nosa, bo mieliśmy szczęście wypatrzeć czarnego głuszca na wysokiej sośnie na której zapadł na noc. Puchalski go sfotografował. Miał w swoim aparacie przybliżający teleskop. Teraz pozostawało tylko jutro po cichu go podejść i ustrzelić. Nazajutrz zerwaliśmy się o samym świcie i ruszyli na podchody. Podziwiałem Kowalskiego jak pewnie prowadzi w miejsce zapadów. Z daleka usłyszeliśmy tokującego głuszca.

- Słyszycie? Cuszika. Mamy go! - rzekł Kowalski - Teraz, panie Igorze, tak jak mówiłem, podbiegamy parę kroków i zamieramy w bezruchu. Dobrze jak pan, młody człowieku - zwrócił się do mnie - zdejmie buty. Żadna gałązka pod stopami nie ma prawa zaszeleścić. On jest bardzo czujny. I łatwo go spłoszyć.

Podchodziłem go więc ofiarnie w skarpetach, podbiegając na

znak Kowalskiego tylko wtedy, kiedy głuszcę siedzący wysoko w koronie sosny głośno tokował. Kiedy byliśmy już prawie na odległość strzału głuszcę się nagle poderwał i odfrunął. Na nic więc zdały się rady Kowalskiego i moja ofiarność. Wróciliśmy z tych podchodów z niczym. Tylko Puchalski go ustrzelił i miał jego zdjęcie. Ja dodatkowo miałem mokre nogi. Kiedy przyszliśmy do Przewięzi czekał nas niezwykle widok. Do śluzy wpadł wilk i nie mógł z niej wyjść. Pazurami rozpaczliwie drapał w belki i wystawiał łeb z wody.

- Postaramy się go odłowić - rzekł leśniczy. Już nie pamiętam jak to zrobił, ale wilk został uratowany. W tym samym roku 1954 poznałem Suwalszczyznę. Pojechałem bowiem nad jezioro Wigry, o którym wiele opowiadał mi mój Ojciec, szczególnie zachwalając przepiękną rzekę Czarną Hańczę. Zamieszkałem w Domu PTTK, w którym nie było żadnych turystów. Łodzią na wiosła dotarłem do pustego klasztoru Kamedułów, który mieścił się na wysokim półwyspie. Z tego klasztoru mnisi zostali usunięci i ich eremy stały puste.

Następne moje spotkanie z Augustowem miało miejsce w lipcu 1962 roku. Postanowiliśmy spędzić tam wakacje razem z Włodzimierzem Odojewskim, Jerzym Krzysztoniem i Januszem Krasińskim. Dołączył do nas Zbigniew Herbert. Ponieważ żona Włodka, Inka Odojewska była bardzo wymagająca pod względem wygód, chciała mieć łazienkę z ciepłą wodą, Włodek wynajął

mieszkanie w nowym bloku. W jego ślady poszedł Jerzy Krzysztoń. Ja zamieszkałem niedaleko w domu leśniczego. Byliśmy tam więc w gronie młodych pisarzy. Lato tego roku było deszczowe spędzaliśmy więc czas w mieszkaniu Włodka Odojewskiego grając w pigwę. Stołowaliśmy się w jedynej restauracji „Stodoła”. Zbyszek Herbert, który często bywał w Augustowie, słyszał o tragicznej historii. Właśnie w tej restauracji „Stodoła” kilku młodych chłopców po wypiciu paru piw posprzeczało się ze swoim rówieśnikiem Brunonem Wojciechowiczem. Wyprowadzili go z restauracji i pobili na śmierć. W szkole przezywano Brunona „Lalek”, ze względu na zawsze schludny wygląd i delikatne maniery. Wszyscy chłopcy mieszkali na robotniczym osiedlu Lipowiec. Zbyszek znał matkę Brunona i pomógł jej we wszystkich czynnościach pogrzebowych. Był w prosektorium i identyfikował ciało zmarłego. Wziął udział w pogrzebie. Lalek zginął bo był kolorowym ptakiem wśród szarych wróbli. Drażnił ich swoją innością. I przypłacił to śmiercią.

Po dwóch latach Zbyszek Herbert napisał świetne słuchowisko radiowe „Lalek”, którego akcja rozgrywała się właśnie w takiej prowincjonalnej knajpie. Bezsensowna śmierć młodego, niewinnego chłopca stała się kanwą tego utworu. Wszyscy interesowaliśmy się sztuką i usłyszeliśmy, że w Augustowie mieszka ciekawy ludowy rzeźbiarz, który nazywa się Jan Szostak i warto go odwiedzić. Rzeźbił w drzewie różne figury, w tym

świętki. Jego prace były interesujące i wszystkim nam się podobały. Pewnego wieczoru Włodek Odojewski wyraźnie poruszony powiedział:

- Zgadnijcie co mi w wielkiej tajemnicy powiedziała wczoraj nasza gospodyni? - No, nie wiem. Mów wreszcie - ponaglił go Jurek Krzysztoń. - Wyobraźcie sobie, że ten cały pocziwy rzeźbiarz Szostak w lipcu 1945 roku brał aktywny udział w wielkiej Obławie Augustowskiej przeprowadzonej przez wojska NKWD i polskie UB na tutejszej ludności. Wydawał w ręce Rosjan byłych żołnierzy AK. Nazwano go katem Augustowa - Nic o tej obławie nie słyszałem - powiedziałem zdziwiony - A widzisz! - odparł mi Włodek. - Bo to jest okryte wielką tajemnicą. Wywieziono wtedy z Augustowa i Suwalszczyzny mnóstwo ludzi w głąb Rosji. Wielu już nigdy nie wróciło z łagrów - No, proszę! - wtrącił Janusz Krasiński, który przesiedział dziewięć lat w stalinowskim więzieniu. - A on mi wyglądał na ubeka. Ja na nich mam nosa - stwierdził. - Krótko mówiąc do tego już doszło, panowie, że byli ubecy rzeźbią świętki i są ludowymi artystami - skwitował Zbyszek Herbert.

Wiadomości o tej obławie dużo później zostały odkryte i badacze tej zbrodni dowiedli, że ta akcja przeprowadzona została na osobisty rozkaz Stalina, który planując swoją podróż pociągiem do Berlina na pokojową konferencję w Poczdamie, postanowił oczyścić teren z wrogów ludu.



Jarosław Abramow Newerly (z prawej) z ojcem, Igorem Newerlym w lesie na Mazurach, fot. arch. J. Abramowa Newerly'ego

Przez Marka Nowakowskiego na początku lat sześćdziesiątych poznałem znakomitego grafika Jerzego Jaworowskiego, autora świetnych plakatów i kierownika pracowni graficznej wydawnictwa „Czytelnik”. To Jawor, jak go nazywaliśmy, pięknie zilustrował pomnikowe wydanie „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Jurek Jaworowski był o czternaście lat starszy ode mnie i urodził się w Augustowie. Jego ojciec, Jan Jaworowski był

przed wojną powiatowym lekarzem w Augustowie. Jurek w dyskrecji przyznał mi się, że był aresztowany w Obławie Augustowskiej w lipcu 1945 roku i wywieziony w głąb Rosji, gdzie spędził kilka lat w łagrach, ciężko pracując w kamieniołomach. Dopiero grubo po wojnie udało mu się szczęśliwie wrócić do Polski i podjąć spóźnione studia. Jawor, który znakomicie znał ziemię augustowską, polecił mi na wakacje wieś Wojciech nad jeziorem o tej samej nazwie, które łączyło się z dużym jeziorem Białym. Pojechaliśmy do Wojciecha razem z Markiem Nowakowskim i jego żoną Jolą. Gospodarze państwo Woronieccy, co wtedy było wielką rzadkością, prowadzili gospodarstwo agroturystyczne i wynajmowali wczasowiczom pokoje z pełnym wyżywieniem. W Wojciechu spędzała również swoje wakacje żona Jurka Jaworowskiego – Hanka z dziesięcioletnim synem Piotrusiem. Jawor pracował w Warszawie i dojeżdżał do nas na niedzielę swoim autem. Miejscowość była przepiękna i te wakacje w Wojciechu uważam za jedne z najlepszych w moim życiu. Tam małego Piotrusia Jaworowskiego nauczyłem pływać. Zabrałem ze sobą mój składany kajak, którym pływalismy po jeziorze. To mi jednak nie wystarczyło i wyczytałem w przewodniku, że niedaleko stąd płynie rzeka Blizna i warto się na nią wybrać. Popłynęliśmy tam więc z Markiem Nowakowskim i ten spływ okazał się niezapomniany.

Blizna była całkowicie dziką rzeką płynącą przez szuwary i podmokłe łąki. Było to prawdziwe uroczysko. Na tej rzece

mogłem sobie wyobrazić jak wyglądały przedwojenne spływy Ojca na naszym Polesiu. Po obydwu brzegach rosła wysoka trzcina. Czasem z tej trzciny podrywała się spłoszona czapla. Dzień był wyjątkowo upalny. Żar lał się z nieba. Nie wzięliśmy ze sobą nic do jedzenia, ani do picia. Spragnieni wody piliśmy ją prosto z rzeki. Była krystalicznie czysta. Gdzie spojrzeć na płaskim terenie rosło tylko zielone sitowie. Nie sposób było wyjść na brzeg, bo wszędzie były dzikie moczary.

- Wpakowaliśmy się w niezłą wyrypę. Co, stary? – śmiał się ubawiony Marek. Pierwszy raz był na takim wariackim spływie i dzielnie wiosłował w czubie kajaka. Ja jako kapitan siedziałem z tyłu u steru. Nie mieliśmy wyjścia i skazani byliśmy na to wiosłowanie. Po kilkunastu kilometrach, zmordowani wiosłowaniem i tym upałem dopłynęliśmy do niedużego jeziora, w którym z rozkoszą się wykąпалиśmy. Późnym wieczorem zmachani ale i szczęśliwi, że tak po męsku sprawdziliśmy się na tej Bliźnie, wróciliśmy do domu.

W 1969 roku również Jurek Jaworowski polecił mi pensjonat pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry. Był to jeden z nielicznych w Polsce pensjonatów. Nie zabrałem ze sobą kajaka, ale do dyspozycji pensjonariuszy były łodzie. Jedzenie było wyśmienite. Spędziłem tam bardzo miło dwa tygodnie. Po wielu latach w tym samym pensjonacie pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie przebywał w stanie wojennym świetny pisarz i

poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, który opublikował potem książkę w Instytucie Literackim w Paryżu oraz w wydawnictwie drugiego obiegu „Rozmowy Polaków”, które umieścił w tym pensjonacie w Gawrychrudzie. Nie mogłem liczyć na wyszukanie mi nowego miejsca na Suwalszczyźnie, czy na jeziorach augustowskich na Jurka Jaworowskiego, bo niestety zmarł przedwcześnie w 1975 roku. Zachorował na wyjątkowo agresywną formę białaczki, na którą nie było ratunku. Dla naszego przyjacielskiego grona Jego odejście było wielką stratą. Ciągłe z Markiem Nowakowskim (dopóki żył) i Jolą wspominaliśmy przemięłego Jawora.

W 1977 roku znów zatęskniłem za Wigrami i postanowiliśmy z moją Żoną Wandzią spędzić tam wakacje. W małej wiosce Zakąty, po drugiej stronie jeziora co Gawrychruda, swój dom pobrał mój stary przyjaciel z STS-u Stanisław Tym, który ukochał Zakąty, ten prawdziwy zakątek dzikiej przyrody. Staś Tym mieszkał w tym domu z żoną Anną, świetnym architektem, oraz chyba dziesięcioma psami. Najstarszy był chiński Czau-Czau, na którego dowcipny Staś wołał Fotel.

- To jest, drogi Jarku, mój Fotel - tłumaczył mi i lekko na nim siadał. Reszta psów to były kundły przygarnięte przez Stasia. My z Wandzią też przyjechaliśmy z psem pudlem, który urodził się w dzień świętego Huberta, patrona wszystkich myśliwych i Wandzia postanowiła go nazwać Hubert. W zdrobnieniu

nazywaliśmy go Hubek. Moja córka Basia, jak była mała, nie mogła tego wymówić i wołała na niego Ubek. Kiedy powiedziałem o tym Stasiowi, bardzo mu się to spodobało.

- Ubek do nogi. Znakomite! - śmiał się. Staś polecił nam gospodarzy, którzy zgodzili się nas stołować. Przetrwał tam prastary zwyczaj raz w tygodniu pieczenia dużych bochnów razowego chleba na liściach kalmusu. Ten razowiec posmarowany świeżo ubitym masłem i leśnym miodem smakował lepiej niż najlepsze ciastko od Bliklego. Te wakacje w Zakątach też były jedne z piękniejszych.

Moim starym kolegą jeszcze ze szkoły i ze studiów był Marian Jonkajtys. Marian zaczął studiować rusycystykę, ale znudzony studiami postanowił zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Namawiał mnie, żebym razem z nim poszedł na egzamin. Posłuchałem go i przygotowałem balladę Mickiewicza „Czaty”. „Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany” - recytowałem w domu głośno. Ale w ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem z Marianem na ten egzamin. On został aktorem, a ja jako aktor wyżywałem się w teatrze STS. To aktorstwo w końcu mnie zmęczyło, wymagało grania każdego wieczoru, a ja wolałem być wolny. Większą przyjemność sprawiało mi pisanie tekstów dla aktorów i słuchanie reakcji publiczności. Z czasem Marian Jonkajtys został znanym aktorem estradowym, tańczył i śpiewał. Wraz z żoną, świetną piosenkarką Reną Rolską często

wyjeżdżał na tournée do Rosji, gdzie w znakomicie opanowanym języku rosyjskim prowadził konferansjerkę. Obydwoje byli bardzo popularni w Rosji. Kariera aktorska mu nie wystarczyła i w dawnym stalinowskim Domu Kultury na Targówku postanowił założyć Muzyczno-Estradowy Teatr. Kosztowało go to wiele trudu. Był bezpartyjny, ale dopiął swego. Stworzył „Teatr na Targówku”, który dziś nazywa się „Rampa”. Marian namówił mnie, żebym do jego teatru napisał musical. W tym celu zatrudnił mnie jak swojego doradcę programowego. Dzięki niemu napisałem musical „Kto mi śpiewa serenadę?”, który wystawiony został w gorącym okresie pierwszej „Solidarności” w 1980 roku. Marian zagrał w nim głównego bohatera i brawuro odśpiewał i odtęczył moje piosenki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przestał być dyrektorem teatru, a ja wraz z nim straciłem posadę. – To co teraz będziesz robił? – spytałem go. – Postanowiliśmy razem z Renusią zerwać z zawodem aktorskim i nie występować już na estradzie – odparł mi. – To z czego będziecie żyć? Macie na utrzymaniu syna Grzegorza? – Zmienimy zawód. Przekwalifikujemy się – odpowiedział mi szybko. Nie bardzo w to wierzyłem. Ale Marian dotrzymał słowa i zaczął wyrabiać artystyczne przedmioty sprzedając je w „Cepelii”. Został metaloplastykiem. Rzeźbił również w drzewie ludowe świątki. Uzyskał dyplom artysty rzemieślnika.

Tak jak Jawor pochodził z Augustowa i w 1940 roku jako dziewięcioletni chłopiec został aresztowany wraz z matką nauczycielką i starszym rodzeństwem przez NKWD. W nieludzkich warunkach wywieziono ich w bydłych wagonach aż do Kazachstanu. Tego długiego transportu podczas straszliwej zimy 1940 roku wielu ludzi nie wytrzymało i zmarło z głodu i mrozu. Ich martwe ciała strażnicy wyrzucali z pociągu. Kiedy po miesiącu jazdy ten morderczy transport dotarł wreszcie do Kazachstanu przewodniczący Kołchozu powitał ich tymi słowami: - Was panowie iz Polszy przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali.

Oni jednak wytrwali i na tym zesłaniu przeżyli sześć lat. O tym wszystkim Marian mi nie mówił w czasach PRL-u i pojęcia nie miałem, że jako chłopiec tyle się wycierpiał. Dowiedziałem się o tym dopiero po 1989 roku. Co ciekawsze Marian pomimo tych strasznych przeżyć nie żywił żadnego urazu do Rosjan. Wręcz przeciwnie. Poszedł na rusycystykę i znakomicie śpiewał na akademiach rosyjską piosenkę „My futbolisty” w duecie z drugim kolegą Markiem Lipszycem. Podczas stanu wojennego zaczął również pisać wiersze z czym się też krył. Dopiero pod koniec życia mi je pokazał i poprosił, żebym do nich napisał wstęp. Wydał tę książkę w Instytucie Lwowskim u innego mojego wielkiego przyjaciela Janusza Wasylkowskiego, który ten Instytut założył w swoim mieszkaniu na Jelonkach w 1991 roku, nie mając w domu telefonu, ani samochodu. Po przeczytaniu tych wierszy byłem prawdziwie wstrząśnięty.

We wstępie do tej książki zatytułowanej „W Sybiru Białej Dżungli” napisałem: *Wiersze Mariana Jonkajtysa są naprawdę niezwykle. Skromnie nazwane zapiskami mają coś z pamiętnika ocalającego miejsca, nazwy i fakty – jednocześnie zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem. Niektóre utwory są klasy Feliksa Konarskiego – Refrena i innego Mariana – Hemara. „Marsz Sybiraków” ma na pewno ten sam ładunek uczuciowy co słynne „Czerwone maki na Monte Cassino” Refrena, czy „Karpacka brygada” Hemara. Nic dziwnego więc, że marsz ten, ze świetną muzyką Czesława Majewskiego, stał się Hymnem Sybiraków.*

Swoje poezje podarował mi Marian z następującą dedykacją: „Jarkowi – drogiemu Przyjacielowi z wyrazami szacunku i wdzięczności – Marian. Grudzień 2002.” Nie wiadomo kto komu powinien być wdzięczny – pomyślałem. Dzięki Marianowi napisałem musical „Kto mi śpiewał serenadę?” W niedługim czasie Marian Jonkajtys zmarł przedwcześnie na raka. Dziś jest bardzo szanowany jako poeta i bard Sybiraków, a Jego rodzinny Augustów uczcił Go nadając jednej z ulic nazwę Mariana Jonkajtysa. W teatrze Rampa ma także swoje upamiętnienie. Jego popiersie wita od lat gości w holu teatru. Wiersze Mariana mają jeszcze tę zaletę, że pisane były przez aktora i nadają się świetnie do recytacji.



Igor Newerly na kajaku, fot. arch. J. Abramowa-Newerly'ego
W 2003 roku Biblioteka Narodowa w Warszawie postanowiła
urządzić wystawę w stulecie urodzin mojego Ojca.

Pomysłodawcą i kuratorem tej wystawy był profesor Jan
Zieliński, który wpadł na oryginalny pomysł by na tej wystawie
wyeksponować drewniany kajak zrobiony przez mojego Tatę.
Wystawa ta była bardzo udana i Muzeum w Suwałkach zgłosiło
się, że chcą tę wystawę do siebie przenieść. Tak, że kajak Taty
zawędrował do Suwałk. Jako gość honorowy zostałem zaproszony
do Suwałk, gdzie pojechałem wraz z moją córką Basią. Uroczy
dyrektor Muzeum Jerzy Brzozowski, po oprowadzeniu nas po
wystawie, zaproponował bym w ogrodzie posadził drzewo na
pamiątkę tego wydarzenia. Z radością to z Basią uczyniliśmy.
Teraz ten dąb ma już siedemnaście lat. Tak, że Ojciec i ja mamy
swoje drzewo w Suwałkach. Pracownik Muzeum starszy kustosz i
kronikarz życia literackiego Suwalszczyzny – Zbigniew

Fałtynowicz obwiózł nas swoim samochodem po ziemi suwalskiej. Odwiedziliśmy m.in Stasia Tyma w Zakątach nad jeziorem Wigry.

Do napisania tych wspomnień zachęciło mnie dwóch wiernych synów Augustowa. Bogdan Falicki zamiłowany animator kultury i społecznik oraz założyciel Klubu Augustowian i Suwalczan w Warszawie i profesor Bernard Wielgat – uczony badacz w Instytucie Biochemii i Biofizyki. Mimo, że od lat mieszkają w Warszawie, Augustów i Suwalszczyzna jest w sercu ich małą Ojczyzną. Dzięki takim ludziom jak Oni pamięć o tej pięknej i doświadczonej ciężko przez historię ziemi wciąż jest żywa.

Transformacje.

Czesław Sornat.



Czesław Sornat, fot. Witold Krymarys

Mieszkający w Austin, Teksas artysta Czesław Sornat pochodzi z Łodzi, gdzie ukończył wydział psychologii na Uniwersytecie Łódzkim. Od 39 lat mieszka poza krajem. W Austin studiował *Visual Communication Design*, fotografię, projektowanie biżuterii, tworzenie rzeźb z metalu i miedzi. Wykładał *Digital Painting and Imaging* w Austin Community College. Pracował też jako psycholog, używając sztuki jako metody terapii. Obieżyświat, odbył dwie podróże dookoła świata, odwiedził 87 krajów. Jego rzeźby, trójwymiarowe formy przestrzenne i obrazy są rozproszone po całym świecie. - Nigdy nie doceniałem swoich prac, ani

nie potrafiłem się z nich cieszyć - mówi o sobie. - Mimo, że ciężko pracowałem, uważałem, że i tak wszystko załatwi mi przychodzi. Dopiero od pielgrzymki Camino de Santiago Frances w 2017 roku, zacząłem się uczyć doceniać to, co mam i co los stawia na mojej drodze. I ciągle się tego uczę.

Camino Francés lub French Way to najslawniejsza ze wszystkich tras Camino de Santiago. St Jean Pied de Port jest punktem wyjścia, choć większość pielgrzymów rozpoczyna podróż z Sarrii w Galicji i pokonuje ostatnie 111 km do Santiago, aby otrzymać certyfikat pielgrzyma, red.



Portugalia 2019 r.



Portugalia 2019 r.

Podróże:

2017- Camino de Santiago Frances, 800 km z plecakiem;

2019 – Camino de Santiago Portugese, 260 km z plecakiem.

Skakał ze spadochronem, był na kilku safari w Afryce, odbył wyprawę na Kilimandżaro, kilka tygodni spędził z plemieniem

Berberów na Saharze, czego rezultatem są tatuaże i rytualne blizny. Beznadziejnie zakochany w kulturze Polinezji, żył na wielu wyspach wraz z ich mieszkańcami. Pomagał w budowie/wypalaniu łodzi polinezyjskiej na Cook Island. Kilka miesięcy spędził w klasztorze w Tybecie. Stał przed lufami karabinów, gdyż przeżył pierwszą i drugą rewolucję w Afganistanie. Był aresztowany przez SAWAK (bezpiekę Szacha Iranu), przeżył ucieczkę Szacha i przyjazd Khomeiniego. Zatrzymany przez Talibów w Ghazni – w sercu Talibanu. Przeżył stan wojenny na Fijach, gdzie dwukrotnie był aresztowany jako szpieg. Zaprzyjaźnił się z księżniczką z Tonga. Próbowano zmusić go do ożenku na Tonga. Podróżował zardzewiałym i rozsypującym się statkiem „Dedele” po wyspach archipelagu Vanuatu (gdzie mieszkają kanibale), dzięki kapitanowi Machi, czyli Maciejowi Bocheńskiemu, który osiadł tam po wojnie. Adoptowany przez rodzinę polinezyjską na Bora Bora i przez rzeźbiarza z Rapa Nui (na Wyspach Wielkanocnych).

Galeria rzeźb - drzewo i kamień















Kapliczka



I Am Spreading My Wings
Cedar wood and found object
© Copyright
by Czeslaw Sornat





Wykształcenie i praca:

Magister psychologii, Uniwersytet Łódzki;

Associate of Arts, Visual, Communication Arts Department,
Graphic Designer, Austin Community College;

Associate of Arts, Photography Department Austin Community
College;

Associate of Arts, Jewelry Department Austin Community College;

Associate of Arts, Copper Sculpture Department Austin Community College;

Teaching Digital Painting and Imaging, Austin Community College.

Wystawy i nagrody:

The Best of College Photography in USA;

wyróżnienie i zdjęcie zamieszczone w wydanej książce o tym samym tytule;

The Best of 3D Design in USA - wyróżnienie i zdjęcie zamieszczone w wydanej książce o tym samym tytule;

Austin Graphic Arts Society (jeden złoty medal, jeden srebrny, pięć brązowych, kilkanaście wyróżnień - za ilustracje, projekty broszur, plakatów itd.);

trzy indywidualne wystawy 3D form/rzeźb;

rzeźby na kilku *art show Texas Society of Sculpture*, 3

wyróżnienia;

osiem fotografii na trzech wystawach, m.in. University of Texas (2018 rok);

udział w różnych wystawach w Texasie – design, fotografii i ilustracje;

ilustracje dla dwóch encyklopedii dla dzieci w języku angielskim i hiszpańskim – 340-350 akwarel.

Wystawa fotografii, Galeria Almada, Lizbona, kwiecień 2019 r.

Wystawa „Portret w Kwadracie”, Galeria Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego, Łódź ul. Piotkowska 102, styczeń 2020 r.

„supermoon” i inne

wiersze



Heike Willingham

Heike Willingham urodziła się w 1962 r. w Rostocku, na terenie byłego NRD. Jeszcze przed upadkiem Muru Berlińskiego przeniosła się na stałe do Berlina Zachodniego, gdzie wcześniej ukończyła filologię germańską. Jest znaną niemiecką poetką tłumaczoną na wiele języków, m.in. na język polski. Jej wiersze były

publikowane m.in. w piśmie „Pogranicza. Szczeciński Kwartalnik Kulturalny”. Brała też udział w pracach niemiecko-polskiej grupy artystycznej „Visum”. Od 2013 r. jest członkiem redakcji magazynu „Herzattacke”. Tłumaczyła z języka angielskiego na niemiecki wiersze autora magazynu „Culture Avenue” Ryszarda Sawickiego.

„Heike Willingham, która przeniosła się do Berlina Zachodniego w 1988 roku, musiała mocniej zaakcentować świat poezji, który jednocześnie rozszerzał się i stawał się coraz gęstą elipsoidą. Jeden z jej tekstów mówi o „nadpisywaniu”, a nie o pisaniu. Heike „nadpisuje” gryzące, brzęczące, ryczące, śmierdzące i roztrzaskane, przestraszone i ciemne, obdarte i oszczędzone... słowa-znaczenia. Jej język jest odczuwalny jak tłumiąca mata dla „podglądaczy” i „podśluchiwczy”. Ona zwraca się do mówiącego, a nie do czytelnika czy słuchacza. Jak w jednym z jej „teatrów lalek” (*tytuł wiersza*) jej poezja jest surrealistycznym światem, który nie jest opisywany, ale nadpisywany. W jej wierszach nie ma zachowanego logicznego porządku zdań, czy struktury znaczenia słowa. Jej pomysły powstają, utrzymują linię, odrywają się, błędzą, krzyżują, skaczą, topią się...”. (*Angelika Stepken, tekst do katalogu wystawy grupy projektowej „Changeant”, Poczdam, 1994, tłumaczenie z <https://www.literaturport.de/Heike.Willingham/>*).

dawno temu

zapisano nam to

w gwiazdach

podnosimy pałeczkę

na czerwień

głogu głośną

zółć adoracji słońca

rzekę zieleni alei

spojrzenie na czymś spoczywa

obok w kręgu

nic nie widzimy

tylko przeczuwamy

tam leży samotnie

pogrzebana przyszłość

dawno temu gdy

pragnienia jeszcze pomagały

gwiazdy były

bliżej ludzi

co trwa ginie

to była ifigenia

która patrzyła

w dal

niezbyt mężnie

raczej trzeźwo

a przy tym statycznie

gałązki oliwne

oplecione mocno

wokół jej głowy

wiedziała

co oni sprowadzą widziała

tylko nie potrafiła powiedzieć

jak to się jej

mogło objawić

nie oczekując

tych co się za nią

tłoczyli

z pełną gębą

i policzkami

widząc również

co się zowie

nie zaślepiona

toteż mądra

zagadkowa

wybrana córa

nie może się stać

ofiara

chcieliby przecież

ją także

poćwiartować

zamiast krowy

bądź krowę

dla niej

nic jej nie pozostawało

w rękach

decydująca chwila

umknęła

jej przeczuciom

stoją więc tak

oczekując

z obłędem w oczach

widzieć nadchodzi

orestes

nie da się go dostrzec

krok jego stłumiony

przez słodycz

pożądania

jedynie piękno

prorokini

wskazuje głaz

dziedziczka

ich zuchwałego ojca

objawia gdyż

od tej chwili

jeszcze bardziej

oddaje się

nurtowi

migawka

medea wpatruje się

nieruchomo

w obiektyw

kamery

młodzieńcy

za jej plecami

łazą wokoło

z wpatrzonych oczu

kobiety

wyziera przymus

zadania gwałtu

nie chce

zostać przebita

własnymi urokami

lub sama się zabić

do klątwy

kładzie się jej na skórze

we włosach

ciemna tajemnica

schorzała krew

została spuszczone

ponad strumieniem

winna wzbudzić

płeć

skoro to nie

zachodzi

nie odpowiada

głośno

matczynemu

oszczepy

dzieci

co się dowolnie

obracali

obserwatorzy

milczą

stoja

w tle

i

notują

supermoon

na tym

tłustym ciastku

wiszą

dławią się

całkowicie wyssane

oblicze

obiecuje

obecność

ciemność

nie śpiąc

przenosi spragnione

myśli

w sen

wołają

niczym lea

dybuka

księżyc

co

zatonął

w pulpie chmur

z której

czерpie

co nas wstrzymuje przemija

nieskończenie

daleko

naprzeciw

przestrzeni

w kosmicznym chłódzie

gdzie słowa

niczym obca

materia

pędzą

po orbitach

które

utrzymują

odstęp

huk

szum

tiul

i bal

wykręt

wydłużający życie

rozmach

co nas wstrzymuje

ogranicza

**Wiersze z tomu: Heike Willingham, supermoon, tłum. na
język polski Leszek Szaruga, wyd. MALDOROR 2015 r.**

Na świątecznym stole

Kuchnia staropolska



Fot. Couleur z Pixabay

Karp po polsku

- Gdzie ryby? - Kasztelan wąsa swego szarpie.-

Miały być z rodzynkami w szarym sosie karpie,

A potem szczupaki i okoń w szafranie!

- Nic z tego - rzecze kuchmistrz - mości kasztelanie,

Złowiono jeno płotki, wieści przyniósł goniec,

Szczupak dał szczupaka, okoń stanął okoniem.....

Zakłuwszy karpia należy wszystką jego krew, o ile możliwości spuścić w ocet osolony i przegotowany, krew bowiem koniecznie potrzebna jest do sosu i bez niej karp dobrym być nie może.

Oczyściwszy i pokrajawszy karpia na dzwona, nasolić prażoną solą wraz z mleczkim lub ikłą, gdyż jak mleczo, tak ikła w karpie bardzo smaczne. Tymczasem ugotować w piwie rozmaite włoszczyznę, wrzucić w ten smak ze dwa grzybki, parę cebul, korzeni, pieprzu, angielskiego ziela i bobkowego liścia: tym smakiem zalać rybę w rondlu, kładąc głowę naprzód, wrzucić trochę skórki cytrynowej, kawałek skórki od żytniego chleba, garść opłukanych korzonków i to wszystko razem ugotować na mocnym ogniu. Osobno zaś ugotować w rynce kamiennej, aż do zarumienienia, łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić tym smakiem, w którym gotowała się ryba, wlać kieliszek białego lub czerwonego wina francuskiego. Wcisnąć do tego sok z pół cytryny, a jak nie masz to soku z żurawin, a gdy przestygnie, wymieszać z krwią karpia na ocet spuszczone, włożyć parę kawałków cukru, łyżeczkę palonego karmelu, wsypać garść rodzynek bez pestek, wygotować ten sos tak, aby był gęsty i przefasować przez sito. Wreszcie ułożyć karpia na półmisku, ubrać jajkiem siekanym, rodzynekami, polać wokół sosem, którego winno być dość wiele, gdyż on stanowi dobroć karpia. A

na jajko siekane dobrze jest z tęgiego papieru wzorki powycinać, jak do kołtrynowego przepróchu i osobno białkiem, a osobno żółtkiem, drobniutko pokrajanymi, żółte wywijasy białymi na karpriu przeplatać. Tak przyrządzoną rybę, którą cudzoziemcy “karpiem po polsku” nazywają, na stół wigilijny podać można.

Magdalena

Samozwaniec

Karp w śmietanie

Karpia filetowanego 1500 g, masła i smalcu po 50 g, mąki 50 g, ziemniaków 1000 g, parmezanu 100 g oraz bułeczka tarta, masło do podlewania i zielenina. Karpia porcjować po 100 g, smażyć na smalcu, po którego odlaniu podłożyć masło i wstawić do piecyka. Wykonać sos: masło z patelni, cebula przyrumieniona, oprószyć mąką i zalać kwaśną śmietaną, solić i pieprzyć do smaku. Wyłożyć karpia na grzany półmisek, obłożyć drążonymi ziemniakami i zalać sosem śmietanowym. Całość posypać parmezanem i zieleniną i zapiec. Wydawać na gorące talerze z wrzącym sosem śmietanowym.

Stefania

Przypkowska

Szczupak po polsku

Zagotować oprawionego szczupaka w lekko osolonej wodzie, w której już się wygotowały selery, pory, pietruszka, marchew i cebula. Podawać z topionym masłem i drobno siekanym jajkiem zastępującym tartą bułeczkę i dlatego zwanym również, jak z tartą bułeczką, w kuchni zachodnioeuropejskiej jako *à la Polonaise!*

Stefania Przypkowska

Szczupak faszerowany

Ogolonego z łuski szczupaka (szczupaka nie skrobie się jak inne ryby, lecz goli bardzo ostrym nożem) wymyć w kilku wodach, wyjąć dolną szczękę i wyciągnąć tędy wnętrzności, przeciąć następnie grzbiet ryby przy samej głowie, tak by się głowa nie łączyła kręgosłupem z całością i ściągnąć skórę wraz z głową, od niej poczynając aż do ogona, który przy skórze pozostawić. Mięso ryby drobno posiekać nożem wraz z dwiema surowymi cebulami, nieco dolewając wody, dwiema łyżkami tartej suszonej bułki i dwoma żółtkami; posolić, popieprzyć do smaku, wsypać garść siekanej natki pietruszkowej, wymieszać dobrze i nadziać tym skórę szczupaka. Otwór przy głowie zaszyć, wyrównać rybę gładko i włożyć do wanienki do ryb. Pół godziny gotować w wywarze jarzynowym. Po ostudzeniu przystroić gotowanymi jarzynami i podawać z sosem tatarskim.

Przypkowska

Borowiki w śmietanie

☒Kapelusze borowików dobrze wymyte pokrajać w cienkie paski, włożyć w ronderek, przekładając masłem (bez wody), przykryć i 10 minut podgrzewać. Sok, który puszcza odparować na wielkim ogniu. Po odparowaniu dodać masła, soli, trochę pieprzu i dużo kwaśnej śmietany z odrobiną mąki. Przez minutę ostro zagotować, jeszcze dopieprzyć i posypawszy parmezanem (czy w ogóle tartym twardym serem) zapiec w kamionkowych zapiekankach.

Stefania Przypkowska

Bigos staropolski

Drobno pokrajane kawałki wołowiny, wieprzowiny, zająca, perliczki (zamiast zająca i perliczki może być kaczka) poddusić dobrze wraz z cebulą na maśle, dodać nieco dobrej kiełbasy i surowego boczku. Wrzucić mięsa do gotującej się kiszzonej kapusty, gotować 8-10 godzin, potem kilkakrotnie mrozić zimą na dworze i gotować ponownie, dodając trochę suszonych śliwek i kieliszek madery.

Przypkowska

❑ **Polskie kołduny do barszczu**

Ciasto jak na pierogi wypełnić masą złożoną z drobno siekanych borowików i tłustej szynki, związanych jajkiem, dodać pieprz i sól. Kołduny w formie małych pierożków muszą być luźno napełnione, dobrze obciśnięte, lekko nakłute widelcem i nie większe niż na raz do ust.

Stefania

Przypkowska

❑ **Przypkowska zupa cebulowa**

Król Leszczyński jadł zawsze za dwoje,

Tak że z trudem się mieścił w królewskie pokoje.

Sam przyrządzał dania: zupę cebulową,

Dodawał do niej rosół, czarny chleb razowy,

Gałkę muszkatołową i masła funt cały;

Jako że margaryny biedaki nie znały.

Pod tą nazwą spopularyzowana już wśród smakoszy Paryża, a nawet serwowana w najlepszej restauracji Madrytu, od pokoleń tradycyjnie podawana w rodzinie Przypkowskich. Posiadając wszelkie cechy staropolskiej kuchni, nie figuruje jednak w książkach kucharskich.

Półtora litra chudego rosółu wołowego, 6 dużych słodkich cebul (jeżeli cebule zbyt ostre, zupa wymaga lekkiego przysłodzenia), 6 kromek żytniego ciemnego razowego chleba, 30 do 40 g masła i do smaku: gałka muszkatołowa, imbir, goździki korzenne, pieprz, sól i o ile można curry, która przecież do Polski dociera. Cebulę w cienkich plastrach przysmażyć na maśle na złoto, kromki chleba zaś osobno przysmażyć na chrupiąco, pokruszyć i razem z cebulą rozgotować w rosole, przetrzeć przez gęste sito, dodać korzeni do smaku indywidualnego i o ile przy tym ostygła – podgrzać przed podaniem z kruchymi ciasteczkami. Aleksander Dumas w swych gastronomicznych rozważaniach podaje anegdotę, jak Stanisław Leszczyński spóźnił się o dwa dni na przyjęcie do królowej córki w Wersalu, przyrządzając na ten polski sposób doskonałą francuską zupę cebulową, jaką mu w gospodzie po drodze podali.

Stefania Przypkowska

Kruche ciasteczka do zupy cebulowej

3 szklanki mąki pszennej, pół szklanki mleka, 40 g drożdży, 250 g masła, jajko do smarowania, 2 łyżeczki bardzo drobno zmielonego kminku, sól do smaku. Ciasto ugnieść wraz z proszkiem kminku i robić paluszki grubości palca. Dla przyjęć bardziej uroczystych rozwałkowywano ciasto cienko i odpowiednimi foremkami wycinano z niego herby gości. Teraz, ponieważ coraz częściej zdarza się przyjmować także nieherbowych gości, bezpieczniej wycinać znaki zodiaku, które goście według swego urodzenia sobie wybierają. Smarować jajkiem i piec w dobrze nagrzanym piekarniku.

Stefania Przypkowska



Fot. congerdesign z Pixabay

Zupa orzechowa

Dwa litry rosółu wołowego, 200 g śmietanki, 400 g łuskanych orzechów włoskich, 3 żółtka. Orzechy utrzeć i zmieszać ze śmietanką, rosół zaprawić żółtkami i masą orzechową, przyprawić solą, pieprzem i lekko cukrem do smaku.

Stefania Przypkowska

Zrazy polskie radziwiłłowskie

Radziwiłłowskie zrazy w wydrążonym chlebie

Bierze się cielęciny i w plastry cienkie foremne kraje. Resztki odkrajane z usiekaną cebulą w tłuszczu się z pięć kwadransów dusi, a potem w moździerzu ubija i rozbite cieniutko plastry tym się smaruje i zwija, a po obtoczeniu w mące obsmaża na patelni, potem w rondlu układa i na maśle i rosole dusi. Do podania na stół bierze się bochen razowego chleba i ściąwszy wierzch ośrodkę wybiera, ugnieconą dziurki, gdyby jakie były zatykając. Włożywszy zrazy, nakrywa się ściętą pokrywą i jeszcze do chlebowego pieca na zagrzanie się wkłada, a na serwetę włożywszy podaje się z tatarczaną, na maśle przyrumienioną kaszą.

Magdalena Samozwaniec

Sernik

Podawany zawsze na międzynarodowych zjazdach w Jędrzejowie został zapamiętany przez smakoszy Paryża, Rzymu czy Wiednia, tak iż z całego Muzeum przeważnie pamiętają: zegary słoneczne i sernik ! Przepis ten musiałam wielokrotnie do Francji posyłać.

250 g masła, 600 g białego dobrego sera, 400 g cukru, tuzin jajek, laska wanilii, obtarte skórki z dwu cytryn. Masło utrzeć w

donicy na pianę, ser, przepuszczony przez maszynkę do mięsa, po jednej łyżce powoli dodawać do ucieranego nadal masła, za każdym razem dodając jeszcze po jednym żółtku i łyżce cukru. Białka z 5 jajek ubić na tęgą pianę i dodać na końcu do utartej masy serowej, przesypując dwiema łyżkami mąki pszennej. Piec około półtorej godziny w formie wyłożonej cienką warstwą kruchego ciasta.

Stefania Przypkowska

Blanc-manger kawowy

Najsłodsza małżonko, luba Marysieńko,

Miast karesów, uraczę Cię dzisiaj wisienką.

Ulubiony deser króla Jana Sobieskiego, który tyle kawy pod Wiedniem zdobył (a Branicki do Chęcin nawet za sobą kawiara Turka przywiózł).

Pół szklanki kawy palonej i zmielonej zalać szklanką gotującej wody w garnuszku kamiennym i przez 10 minut gotować dobrze pod przykrywką, po czym odstawić kawę, aby się ustąpiła, zlać ją do kwarty zagotowanej poprzednio śmietanki z pół szklanką cukru i wanilii, wlać karuku rybiego (żelatyny), a gdy gęstnieć

zacznie, zdjąć z ognia, mieszać jeszcze przez chwilę, a potem przelać przez sitko na salaterkę porcelanową lub formę wypłukaną świeżą wodą, zmieniając ją, w miarę jak się ogrzeje.

Magdalena Samozwaniec

Pierniki z suchemi konfiturami

Czystego miodu patoki zasmażyć, zszumować, przecedzić przez sito, wlać trochę pomarańczowej wody, mąkę pszenną po połowie z kartoflą zmiesić z miodem na nie bardzo gęste ciasto, potem rozciągnąć na blasze posmarowanej olejkiem migdałowym lub oliwą; na grubość palca nałożyć suchemi konfiturami, cykatą albo smażoną pomarańczową skórę krajaną, przykryć znowu ciastem, zrobić jeden wielki piernik lub pokrajać w kawałki i upiec w letnim piecu

Helena Modrzejewska

☒Placek bez drożdży kruchy

Kwartę mąki suchej zagnieść z 8 jajami, ½ funta miłkiego cukru, trochę soli, wanilii, poczekać aż cukier się rozpuści, potem wyrobić ciasto z ½ funta świeżego masła i wygniatać aż pęcherzyki na cieście pokazywać się zaczną, rozwałkować na grubość pół cala, posmarować jajkiem i migdałami drobniutko

posiekanymi z cukrem posypać, piec w piecu niezbyt gorącym trzy kwadranse. Potem z dobrą kawą ze śmietanką zjeść, a bardzo dobrze będzie smakowało, wiem z własnego doświadczenia.

Helena Modrzejewska

Lody krem brule

Włożyć jeden funt cukru porąbanego do rondelka, wlać pół kwarty wody, gotować póki cukier nie weźmie koloru brunatnego, rozprowadzić 2 kwartami słodkiej śmietanki, ogrzać to na ogniu i mieszać póki nie zgęstnieje i nie będzie odstawać od łyżki drewnianej, wlać do puszki i zamrozić, jak będą gotowe zjeść z apetytem

Helena Modrzejewska



Fot. Gerd Altmann z Pixabay

Przepisy **Heleny Modrzejewskiej** (1840-1909) znalezione zostały i opracowane przez prof. Emila Orzechowskiego z

Krakowa. Pochodzą ze zbiorów po aktorce w Nowym Jorku, znalazły się w zeszycie z jej różnymi notatkami i przepisami.

Przepisy **Magdaleny Samozwaniec**, córki Wojciecha Kossaka (1894-1972) wchodzą w skład jednego z rozdziałów książki „Łyżka za cholewą, a widelec na stole” p.t. „Z pamiętnika imć Panny Klementyny Ochędożyńskiej”. (*Maja Berezowska, Stefania i Tadeusz Przypkowscy, Magdalena Samozwaniec, Łyżka za cholewą, a widelec na stole, Wydawnictwo Literackie 1977*).

Stefania Przypkowska (1909-2001), żona Tadeusza Przypkowskiego słynęła z dobrej, staropolskiej kuchni. Rodzina Przypkowskich miała największą w Europie kolekcję zegarów słonecznych. W ich kamienicy w centrum Jędrzejowa powstało Muzeum im. Przypkowskich. Syn Stefanii i Tadeusza Przypkowskich – Piotr Maciej, który skończył historię sztuki w Warszawie, pod koniec lat 80. został dyrektorem tego muzeum. Przepisy Stefanii Przypkowskiej pochodzą z książki wydanej wspólnie z Tadeuszem Przypkowskim, Magdaleną Samozwaniec i Mają Berezowską (j.w.), a ich wybór był inspirowany opowieściami syna Piotra Macieja Przypkowskiego i historyków sztuki biorących udział w słynnych międzynarodowych zjazdach w Jędrzejowie.

Wybór o opracowanie: Joanna Sokołowska-Gwizdka

O kuchni staropolskiej:

Zapomniana Wigilia

Świąteczne przysmaki i codzienny jadłospis w domu
Kossaków

Staropolska sztuka kulinarna. Część I.

Staropolska sztuka kulinarna. Część II.

Aborygeni i ich świat



Sztuka aborygeńska, Sen o ogniu, fot. Malcolm Maloney

Jagamarra, www.aboriginalartcoop.com.au

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

**O tym, że istnieje poezja aborygeńska dowiedziałam się z
Pani artykułu opublikowanego w piśmie „Poezja dzisiaj” w
2014 r. Literatura ta nie funkcjonuje powszechnie,
Mieszkając w Europie czy w Ameryce, mamy zaledwie**

strzępy informacji na temat ludów tubylczych Australii. Co spowodowało, że zainteresowała się Pani tak egzotyczną literaturą?

Teresa Podemska-Abt (*Australia*)

Kilka czynników, silne poczucie sprawiedliwości społecznej, ciekawość i chęć poznania literatury, o której nie wiele wiedziałam, a o twórcach której czytałam niestworzone historie, łącznie z tym, a co już na pierwszy rzut oka było wiadome, że medialne przekazy lat osiemdziesiątych szerzą negatywną, skierowaną przeciwko tubylcom, propagandę. Pracując w owym czasie w szkolnictwie australijskim, widziałam też alienujące się i przestraszone grupy aborygeńskich dzieci i młodzieży. Chciałam sama sprawdzić jak to z tymi tubylcami jest i co jest prawdą, która nie była łatwa do rozpoznania, ponieważ nie wiedziałam nawet, który z pisarzy czy akademików jest tubylcem, a który nie. W tamtych czasach, ciągle w wyniku opresji, tubylcy nosili nazwiska nadane im w czasach kolonizacji, czyli masowej chrystianizacji, procederu dziś powszechnie już opisywanemu.

Poza tymi pobudkami kierowała mną chęć znalezienia sobie miejsca w literaturze australijskiej. Zaczęłam więc swoje poszukiwania od tego co mnie zaintrygowało najbardziej, owszem, literatura okresu osadnictwa czy opowieści irlandzkich sierot były ciekawe, ale to były historie „białych” (osadników,

najeźdźców, emigrantów), które w mniejszym czy większym stopniu znałam już z przekazów innych literatur, natomiast tubylcy (i ich losy, te autentyczne, historyczne, jak i te przedstawione w literaturze) stanowili dla mnie tajemnicę, która prowadziła do poszerzenia wiedzy, a nawet wymagała wypracowania nowych narzędzi badawczych. Zaczęłam oczywiście od „namiętnego” czytania, szukałam pierwszych zapisów, źródeł, czytałam historię pisaną przez tubylców, uczyłam się mitu rozumianego jako historia.

Później przyszły analizy, także porównawcze. W pierwszym bowiem rzędzie zauważyłam niezmierne podobieństwa aborygeńskiej literatury oporu ze światową literaturą protestu, w tym oczywiście – z polską. Krytyka australijska tego okresu nie była zainteresowana przenoszeniem wartości światowych na literaturę aborygeńską, bo uznawano ją wtedy za literaturę mniejszości, na dodatek ukrytą pod nazwiskami anglosaskimi. Innym moim polem zainteresowania był oczywiście mit; oprócz jego oryginalności widziałam też tak zwane podobieństwa w różnicy (albo różnice w podobieństwach). Naturalnie ważnym aspektem moich zawodowych wtedy poszukiwań była totalna niechęć do zmiany profesji, a język polski i nasza literatura były i są poza jakąkolwiek szansą na zawodowe urealnienie. Literatura aborygeńska stała się więc nie tylko szansą na pracę, ale pewnie jedyną szansą na rozwój, bo w tamtych czasach na uniwersytetach australijskich królowała głównie anglistyka,

podczas gdy literatura australijska dopiero „raczkowała”, nie wspominając nawet o tym, że teorię literatury wykładano w bardzo wybiórczy sposób. Z tych i wielu innych względów, znalezienie dla siebie niszy, która pomieści moje zainteresowania, umiejętności i aspiracje, a także pozwoli egzystować, stało się moim celem i priorytetem, którym z pasją się oddałam, zwłaszcza, że praca w szkolnictwie australijskim, nie przynosiła mi z różnych powodów satysfakcji. To przyszło później, gdy zajęłam się ponownie pracą akademicką.



Teresa Podemska-Abt (w środku) wśród ludności tubylczej, 1999

r., fot. arch. T. Podemskiej-Abt

Jak zdobywała Pani zaufanie Aborygenów, aby poznać ich kulturę i język?

Myślę, że zainteresowałam pisarzy aborygeńskich tym, że zajęłam się przede wszystkim aspektami artystycznymi ich twórczości, bez nacisku na wartości społecznohistoryczne, którymi głównie zajmowali się Australijczycy, a które stanowią podstawę analiz postkolonialnych. Mnie ciekawiło to, czego nie dostrzegała tutejsza krytyka literacka, która niewiele uwagi poświęcała treściom i środkom artystycznym, nie dokonywała analiz komparatystycznych. Szukałam w literaturze aborygeńskiej tego, co było porównywalne do literatur, które znałam, lub nieznanego czytelnikowi polskiemu czy europejskiemu. Poza tym, zaintrygowały mnie środki przekazu i obrazowania językowego, które pozwalały lub nie na tłumaczenie utworów na język polski.

Był jeszcze jeden ważny powód, dla którego tubylcy ze mną współpracowali, co, mówiąc szczerze, nawet trochę mnie początkowo zdziwiło, ponieważ nie miało to nic wspólnego z moją wiedzą czy umiejętnościami, a... pochodzeniem. Otóż tubylcy widzą mnie jako *Inną*, wprowadzie „białą”, ale, zażartuję, „białą inaczej”, czyli osobę o nie-anglosaskim pochodzeniu, jako tę nie-Australijkę, która także musi ulegać australijskiej kulturze jednego nurtu i także zmaga się z *innością*. Założyli, Ruby Langford Ginibi jako pierwsza, że — będąc córką ofiary

koncentracyjnych obozów i eksperymentów nazistowskich, znając reżim socjalistyczny, tudzież doświadczając w Australii dyskryminacji jako imigrantka nie należąca do uprzywilejowanych grup społecznych (anglosaskich i zachodnioeuropejskich) — potrafię zrozumieć problemy związane z niesprawiedliwością społeczną i prześladowaniami w kolonialnej i postkolonialnej Australii.

To była prawda, ale ta prawda o mnie, mnie zaskoczyła, bowiem myślę, że każdy człowiek, zwłaszcza zaś krytyk, tłumacz czy pisarz, epatuje z ludzkim cierpieniem (każdym, nie tylko tubylców) i odpowiednio się sytuuje w kontekście. Ten kontekst to przecież środowisko, historia, stosunki międzyludzkie, z czym zawsze musi iść zrozumienie i umiejętność dokonywania wszelkich analogii. Taka szeroka perspektywa spojrzenia na literaturę jest niezmiernie ważna, wymaga zastosowania odpowiednich narzędzi, aby doświadczenia motywujące powstawanie literatury móc ustawić względem wszelkich literackich zjawisk tzw. literatury światowej. Tożsamości pisarzy nie biorą się znikąd.

I tu właśnie moja wiedza o literaturze, wyniesiona ze studiów filologicznych na Uniwersytecie Wrocławskim, wiedza z teorii i socjologii literatury czy interpretacji, miała duże znaczenie w kwestii, o którą Pani pyta. Po prostu potrafiłam, dzięki innej edukacji i innemu, stosowanemu przeze mnie instrumentarium

teoretyczno-literackiemu wskazać pisarzom aborygeńskim jakieś nowe rozwiązania na ich zaistnienie w świecie. Myślę, że tym także to zaufanie zyskałam. Naturalnie nie można wykluczyć w takich budujących się relacjach między krytykiem/tłumaczem i pisarzem zwykłej zawodowej i artystycznej interesowności. Każdy pisarz chce zaistnieć nie tylko w innym języku, ale także w naukowej krytyce literackiej. Moja współpraca z pisarzami aborygeńskimi to w tym względzie nie tylko kwestia zaufania, ale – a może przede wszystkim (?), taki swoisty mariaż: mnie potrzebna była literatura aborygeńska, aby w Australii zaistnieć w swoim zawodzie i „trwać” w moim powołaniu oraz w środowisku literackim w Polsce, pisarzom tubylczym natomiast potrzebne były moje krytyczne, translacyjne i akademickie umiejętności, inne spojrzenie na ich twórczość, a także – tzw. siła przebicia manifestująca się w promowaniu ich twórczości w translacji oraz możliwości międzynarodowej publikacji.

Pyta Pani o język; po obszarze tubylczych kultur poruszam się poprzez aborygoangielski i angielski. To są po prostu języki pisarzy aborygeńskich.



Sztuka aborygeńska, mural, fot. APY Women's Council
Aboriginal Corporation.

Na ile podmiot liryczny w poezji aborygeńskiej zaznacza swoją odrębność kulturową w opozycji do narzuconej mu kultury białego człowieka?

I w prozie i w poezji, także w dramacie i sztukach wizualno-muzycznych mamy do czynienia z niezwykle silną tożsamością. Podmioty te zaznaczają swoją inność, wykazują postawy buntu przeciwko dominacji i klasyfikacjom „białego” człowieka, podkreślają wartości wspólnotowe wynikające z tubylczych podstaw filozoficznych, w nich, przede wszystkim – holistyczne rozumienie świata i istnienia wszystkich (i każdej) istot na Ziemi we wszelkich powiązaniach z Kosmosem. Uznając mit za historię autorzy tubylczy podkreślają go jako źródło, prawdę niepodważalną o stworzeniu, istnieniu, egzystencji, Początku

ludzkiej historii, a także współzależnościach Natury i człowieka, który jest jedynie częścią Ziemi, a nie jej właścicielem, tudzież – naturalnych sił istnienia (tych także, które są ponad zrozumienie dane człowiekowi). Pięknie to przekazuje podmiot wiersza *Jestem Imarbara – Generacja Egzystencji*, Lionela Fogarty’ego. Oprócz prezentacji tubylczych wartości filozoficznych i rozumienia Istnienia, poeta przeciwstawia się i pejoratywnie nacechowuje systemy myślenia, działania i języka, „białego”. Język podmiotu, jego użycie, neologizmy (uznane też za zniekształcenia, rebelię przeciw gramatyce i językowi angielskiemu jako takiemu) podkreśla nie tylko wspólnotowość wszelkiej istoty życia i Ziemi (w tym terytorium ziemi, którym zgodnie z przekonaniem tubylców, człowiek się jedynie opiekuje będąc naturalną częścią składową Ziemi), ale także języka samego w sobie, w tym – języka okupanta (ziemi australijskiej i jej Pierwszych Mieszkańców).

Jestem żywym istnieniem, należysz do mnie. Ja jestem.

Jestem z ziemi i przestrzeni

(...)

Jestem świętym prawem

Jestem krewnym wszelkiego stworzenia

Jestem krewnym tej kreacji

Świat jest moim narodem

Ziemia jest moją matką

Czarny człowiek jest z tej ziemi

Czerwony człowiek jest z tej ziemi

żółty człowiek jest z tej ziemi

Ale gdzie jest dom białego obłąkanego człowieka

On ma na myśli zadawanie gwałtu swojej własnej matce ziemi

Muszę walczyć z drzewami

Muszę walczyć z rzekami i skałami

Droga matko ziemio przyjmij moją miłość

(...)

Odbierz sobie ból, którego zaznajesz, by być częścią mnie

Proszę Cię matko uwierz – cierpię i jest mi przykro, że taki jest naturalny bieg rzeczy

Jestem ptakami, kturę umierają*

Jestem węzami kturę umierają*

Jestem stworzeniami morskimi skazanymi na śmierć

Oczywiście człowiek, my jestem ale dlaczego musimy uderzać i rozbijać się o ziemię?*

Jestem twoim rodowitym w niewoli

Jestem twoim rodowitym w stanie buntu

Jestem tubylcem żeby przywieść wszystkich

białych ludzi do nowego świata

gdzie rządzisz matko ziemio ty.

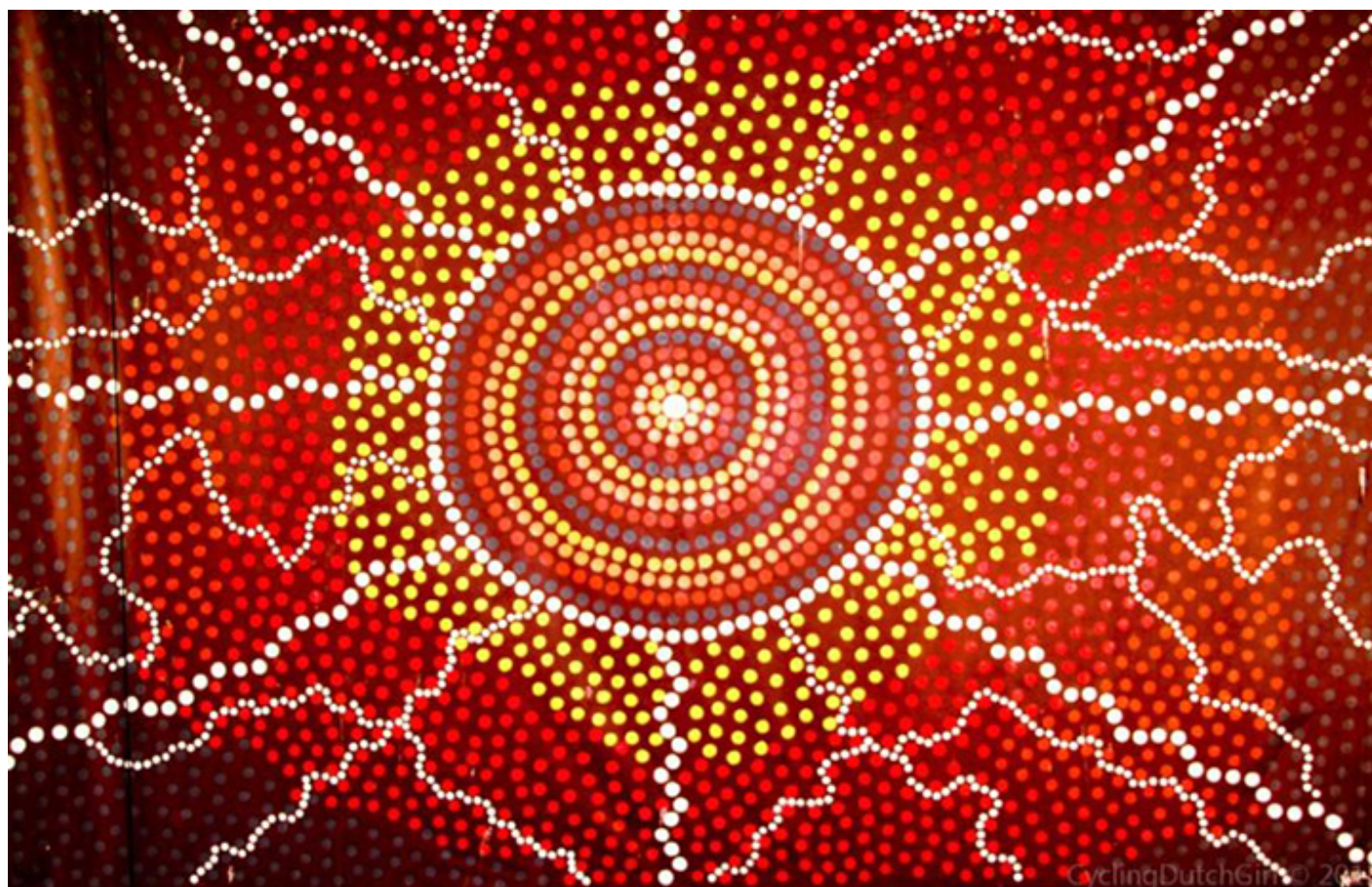
Wiem że możesz właśnie tyle wytrzymać

Dlatego jestem Źródłem tożsamości ziemi.

Ty matka ziemia wyposaża mnie w potrzeby fizyczne
i moje duchowe potrzeby*

*Jesteś święta i sakralna i ja jestem odnowieniem
historii i kontynuacją twojego życia*

*Jestem początkiem i to gdzie my zmierzamy**



Sztuka aborygeńska, Słońce we śnie, autor nieznany, fot.
Adventures in Aboriginal Dreamtime

Jaki jest Bóg, czy Bogowie tubylców?

Nie można wskazać na jednego boga w kulturach aborygeńskich. I nie myślę, aby w kontekście kultur aborygeńskich słowo „bóg” było odpowiednie, ponieważ każda społeczność ma swoje istoty stworzenia z „czasu przed czasem”, potocznie zwanym *Dreamtime*. Tubylcy uważają, że to te istoty stworzyły (natchnęły życiem, dały początek istnieniu ludzkiemu) ludzi i wszelkie inne formy życia i usytuowały ludzkie i każde inne istnienie czy życie „w” i „na” konkretnym terytorium, gdzie to istnienie ludzkie (czy człowiek/ludzie) stało się zarówno częścią, jak i niejako przedłużeniem tego terytorium. Z tego powodu ziemia (land) jest pełna znaków i symboli upamiętniających, przypominających i stale urzeczywistniających istoty życia, siły życia, prastworzycieli, kreatorów czy może sił kreacji wszelkiego prapra(s)tworzenia. Cokolwiek te istoty stworzyły lub pozostawiły po sobie na Ziemi (w Naturze) jest ciągle, do dziś i wiecznie żywe, i w każdej chwili materializuje się oraz ukazuje ludziom (i innym stworzeniom). Z tego powodu Ziemia (w swej naturalnej postaci) jest pełna duchów tych mitycznych istot życia i stworzenia, co manifestuje się w postaci przeróżnych śladów: skał, koryt rzek, kształtów powierzchni Ziemi, ale też takimi zjawiskami natury jak na przykład błyskawica.

Sumując, w tradycyjnych wierzeniach, oryginalna czy pierwotna Ziemia była ukształtowana i zaludniona przez istoty mityczne, a nie bogów; przez istoty, które dodały do Ziemi (i wszelkiego stworzenia na niej) własną istotę (esencję, siłę) stwórczą, aby

znalazło się na niej wszystko co jest potrzebne do życia i egzystencji (także ludziom). Istoty mityczne przemieszczały się z miejsca na miejsce przez ziemskie terytorium, od wody do wody, i zostawiały wszędzie zgrupowane zaczątki (atomy?, jaja?, jądra) życia, które stawały się ogniskiem spirytualnych, duchowych asocjacji. Przemieszczając się istoty mityczne, takie jak na przykład Tęczowy Wąż, Baiame, zostawiały ślady w postaci koryt rzek czy dolin. Śladem bywają też skały, groty czy pagórki, które były dziełem kreacji istot mitycznych. W ten sposób cała ziemia (ląd, wody, góry, równiny, itd.) stawały się święte, przy czym i jako że istota życia ludzi, roślin i zwierząt jest identyczna, istoty mityczne mogą być i Przodkami Przodków wielkich zwierząt i Przodkami Przodków, ale zawsze i na zawsze związanymi z ziemią, ziemskim terytorium. Taka mityczna wizja świata ziemskiego i pozaziemskiego (tego sprzed powstania Ziemi także) oraz wizja Początku Ziemi i wszelkiego stworzenia daje wyjaśnienie nadzwyczajnemu powiązaniu tubylców z ziemią, na której się znaleźli (urodzili i mieszkają). Naturalnie każda osoba ma także wielce indywidualne połączenie z mitycznymi istotami żyjącymi na terytorium jej przyjścia na świat (stąd totemizm) i dlatego każdy tubylec jest spirytualnie zintegrowany z ziemią, co więcej, płód zostaje natchnięty życiem przez istotę mityczną, zostaje po prostu ożywiony.

Jakie są święta tubylców australijskich i jak je obchodzą?

Największym, tradycyjnym świętem tubylców jest *corroboree* (junba, yanda), czyli spotkania tubylców z różnych okazji. Tubylcy, najogólniej mówiąc, celebrują *Dreaming* (i Dreamtime), czyli życie w tradycji, obyczaju i prawie (wiecznym), które pozostawili im Wielcy Przodkowie. W czasie *corroboree* tubylcy rytualnie tańczą, śpiewają i przekazują sobie i swoim dzieciom i młodzieży „stories” (opowieści), ucząc w ten sposób historii własnej ziemi i ludzi, zasad i norm życia, relacji międzyludzkich, w tym ról, jakie poszczególnym członkom społeczności nakazuje wspólnotowy system społeczny, powinowactwo, pokrewieństwo, totemizm.

Spotkania obejmują inicjacje, śluby, „przejścia” związane ze śmiercią i obrządkami pogrzebowymi. W związku z podziałem ról, kobiety i mężczyźni czasami świętują oddzielnie; starsi uczą młodsze pokolenia przez inicjacje, przygotowując ich do następnej fazy życia. Jedną z inicjacji jest np. *walkabout*, droga, na której dzieci i młodzież zdobywają nowe doświadczenia, uczą się historii własnego rodu czy historii naturalnej. *Walkabout* jest też dla społeczeństw tubylczych rytuałem odnowienia drogi przodków i indywidualnej. Ciekawą celebracją jest wspominanie i oddawanie czci przodkom, w czasie której tubylcy palą tzw. strusi busz (krzew trędownika), aby uleczyć siebie oraz pozbyć się (czy odgonić, jak kto woli), złej energii duchów, istot spoza zasięgu zmysłów ludzkich. Mowa oczywiście o ceremoniach oczyszczenia.



Uluru – święta góra Aborygenów, fot. Stefan Schüler z Pixabay

Zapisana poezja aborygeńska, o czym wiem z pani artykułu, jest stosunkowo młoda. Pierwszy tomik poezji aborygeńskiej poetki Oodgerooo p.t. „We are Going” ukazał się dopiero w 1964 r. Zapewne w dużej mierze była to poezja przekazywana ustnie, a więc niezwykle ulotna. Jakie podejmuje się działania, aby zachować tę unikalną twórczość i kulturę?

Jest ich wiele, począwszy od wielkich sum pieniędzy przyznawanych przez rząd australijski na rewitalizację języków i wspomaganie artystycznych działań tubylców, poprzez subsydia dla tubylczych organizacji kulturalnych, skończywszy na wielkich

instytutach badawczych, takich jak AIATSIS, z którym współpracuję od lat, a który prowadzi niezliczoną liczbę programów i badań, w ramach których wydawane są książki, słowniki języków aktywnych, nagrywane i reaktywowane są języki zagrożone zanikiem. Instytut prowadzi też doskonałą bibliotekę tubylczych manuskryptów, opowieści audio, manuskryptów wszelkich prac na temat kultury czy języków tubylczych. Oczywiście bardzo ważna jest praca taka jak zapisywanie dziejów rodzin, tworzenie alfabetu dla transkrybowania ustnych przekazów językowych czy literackich. Na uniwersytetach są oczywiście wydziały kultury tubylczej, gdzie uczy się języków tubylczych i literatury aborygeńskiej. Trochę smutne, że literatura aborygeńska nie stanowi samodzielnej dziedziny uniwersyteckiej, ale jest jednym z tzw. jednostek literatury australijskiej.

Jak już wspominała Pani wcześniej, ukończyła Pani polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Potem obroniła Pani doktorat z literatury aborygeńskiej na Uniwersytecie Australii Południowej. Czy widzi Pani punkty wspólne pomiędzy literaturą aborygeńską, a polską?

Częściowo odpowiedziałam na to pytanie wcześniej, więc dodam tylko, że temu zagadnieniu poświęciłam dużo uwagi i analiz w książce o literaturze aborygeńskiej zatytułowanej *Spaces of literary Wor(l)ds and Reality*. Mówię w niej w ujęciu

komparatystycznym o tendencyjności, tematach, motywach, poetykach protestu i oporu, o uniwersalności, sposobach zapisu i obrazowania językowego, stosowanych środkach, aplikacjach folkloru i mitu, płynności gatunków, destabilizacji norm literackich i językowych, wreszcie – o życiopisaniu, znaczeniu prawdy w powieści i autobiografii, itp. Naturalnie wszelkie przytoczone przeze mnie porównania, asocjacje i konotacje wyznacza tzw. *różnica* czy *różnica w podobieństwie*, ale jak najbardziej, wymienione zagadnienia stanowią punkty wspólne, o które Pani pyta, niezbitym jest aborygeńska „biała książka”, która wyraźnie się konotuje z polskimi „białymi plamami”.



Dr Teresa Podemska - Abt is a philologist, translator, educator and researcher, as well as a writer. She holds PhD in Indigenous Studies and Aboriginal literature, MA in Polish Philology and Postgraduate BEd and MEd (c/w) in Education and Multiculturalism obtained from Universities of South Australia, Wrocław and Adelaide. Teresa's academic prose, books, poetry selections literary essays and translations have been published in Australia and Poland. Her work appeared in anthologies and academic and literary periodicals (e.g. *Postscriptum Polonistyczne*, *Text Matters*, *Rozmowy o Komunikacji*, *Czas Kultury*, *Nowe Media*, *Poetrix*, *Tygiel Kulturalny*, *Odra*, *Poezja dzisiaj*, e.t.c.). Teresa is a winner of Australian and Polish awards and grants. She writes in English and Polish. She is a dedicated promoter, critic and translator of Aboriginal literature.

"The title of the book, *Spaces of Literary Wor(l)ds and Reality*, reveals the essence of the author's concerns. The words of literary works produced in the concrete realities of a specific world space are not limited in their significance and reader appreciation to their own cultural world. The subtitle explains the particular literary wor(l)d on which the author focuses to demonstrate the possibilities of developing deeper transcultural meanings across literary spaces in a globalizing world. This original and multi-layered text is a ground-breaking work which provides important new insights in a number of related areas of literary study. In her approach, the author refuses to be bound to any one conceptual framework of interpretation. Rather she seeks to explore the possibilities of meanings in the Aboriginal texts analysed, using a pluralist model of interpretation, incorporating aesthetic, cultural, comparative, as well as other perspectives."

Dr Margaret Secombe

"Approaching Aboriginal literary works from the outside-culture perspective is the readership's strength paving the way for deeper understanding and situating them in a wider context of world literature. Addressing esthetic, cultural, worldview, communicative and epistemological values embedded in the Aboriginal literature, Teresa Podemska - Abt insightfully contextualises and reflectively analyses its unique plots and themes, such as dreaming, myth, metaphysical sensations, spiritual relationship with the land, folklore, everyday life as well as the ones which are fundamental to human experience and literary esthetics, i.e. freedom, identity, hardship, captivity. The author's compelling exploration of and journey to the area of literature, theory and reception has been grounded in the works of various Aboriginal writers, including A. Wright, L. Fogarty, K. Scott, H. Wharton, A. Heiss, J. Thomas. Special attention deserves to be paid to the exceptionally interesting Polish - Aboriginal literature associations which open a completely new research field."

Dr Hab. Magdalena Bok

Teresa J. Podemska - Abt
SPACES OF LITERARY
WOR(L)DS AND REALITY

Książki Teresy Podemskiej-Abt

Bukowe sanktuarium



Buki jesienią, fot. ArtTower z Pixabay

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Każdy wie, że kiedy wchodzi się do Katedry na Wawelu, przechodzi człowieka dreszcz wzruszenia i rodzaj uniesienia. Podobne wrażenia odnosiłem zwiedzając Bazylikę Świętego Piotra w Watykanie, Katedrę Notre-Dame w Paryżu, katedry w Chartres i w Kolonii, Katedrę Świętego Pawła w Londynie i wiele innych. Cudownych dzieł ludzkiej maestrii zrodzonych z myśli o sprawach wyższego rzędu...

A przecież są też pomniki, które budują w naszej duszy podobne

uniesienia, które dają nam wrażenie bliskiego obcowania z istotą Najwyższą, powodują nasze uduchowienie i uwznioślenie. Są blisko nas, czasem obok nas. Nie zawsze je zauważamy, nie zawsze doceniamy. O co chodzi?... Po prostu o drzewa, które – uformowane w pewne konfiguracje – tworzą swoiste sanktuaria. W nich jest też możliwa łączność z Absolutem.

Nie mam na myśli szczególnie egzotycznych krajów i usytuowanych w niej dorodnych puszczy z fenomenalnym drzewostanem. To zbyt dalekie. Nie zawsze osiągalne. Rzecz idzie o te obszary, które nas na co dzień otaczają. Od kilku dziesięcioleci związany jestem z lasem. Nie wyobrażam sobie życia w regionie, w którym panuje niedostatek drzew, krzewów, łąk. Czy ja jestem wyjątkiem? Ależ nie...

Adam Mickiewicz ze wzruszeniem wspominał na obczyźnie swoje „domowe drzewa”, nadniemeńskie łąki, biel łąków gryki. Rzecz to całkiem zrozumiała. Oddalenie i związana z tym bolesna nostalgia – robiły swoje. A przecież my mamy domowe drzewa na co dzień. To prawdziwy luksus. Lasy dębowe, bukowe, eleganckie brzeziny. Ileż w tym zdrowia, ale i poezji, którą bezustannie znajdowali tam najznamienitsi lirycy, tacy na przykład, jak Staff, który w wierszu Szum drzew dostrzegał urzekającą muzykę, jaką niesie przyroda:

Najpiękniej ta piosenka śpiewa,

Którą się w sen kołyszą drzewa.

Kiedy w powiewie liść szeleści

I ucho jak milczenie pieści.

Posłuchaj miła tego szumu,

Wpiszę go tobie do albumu.

Z tą poezją w sercu spaceruję tedy po naszych „domowych” lasach. Kazimierz Górniczy, Maczki, Grodziec, Gródków, Psary, Łagisza. To właśnie tutaj, jeśli się wnikliwie spogląda na świat, można znaleźć urocze zakątki, godne literackiego utrwalenia. Tym razem pozwolę sobie głosić pochwałę buka. Dlaczego? Zobaczymy. Wiemy, że buk zwyczajny osiąga wysokość 40 metrów. Rośnie na półkuli północnej, a więc w naszym regionie. Widać go w północno-zachodniej części Polski. Sięgnął także ku Litwie. Stał się drzewem dostojnym, czego poetyckim wyrazem jest wprowadzenie go do naszej epopei narodowej. To buki właśnie były pierwszymi odbiorcami cudownego koncertu Wojskiego, wykonanego z czuciem i prawdziwą maestrią na rogu: „Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki / Powtarzały je

dęby dębom, bukom buki”. W górach buk sytuuje się w reglu dolnym. Kazimierz Tetmajer w Pieśni o Jaśku zbójniku dawał do zrozumienia, że buk był drzewem bliskim sercu góralskiego ludu. Pisał: „Z Orawskiego Zamku chłopcy pozierają, / czy się popod Tatry bucuki ozwiją?” W ludowych piosenkach Podhala powtarzają się w różnych wersjach znane nam wszystkim słowa: „(...) Hej, bo mi się bucyna, zacyno łozwijać, zacyno łozwijać...” W młodopolskiej poezji buk zyskał nobilitację Karol Brzozowski w wierszu Stara przędza pisał: „W stawie się czarne przeglądają buki / Księżyc z gwiazdami drży na szybie wód”.

Sławię buki ponieważ towarzyszą mi od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Urzeka mnie gładka, srebrzystoszara kora, wdzięczny krój jajowatych liści. Godzinami mogę przyglądać się miseczkom owocowym, które mają dwa trzykanciaste orzeszki, nazywane bukwia. Mało kto zapewne wie, że są jadalne po uprażeniu. Zawsze w tartakach rozpoznawałem bukowe drewno: ciężkie, twarde, różowawe, łatwo łupliwe; pamiętam słynne sklejki służące do robót w ramach praktycznych zajęć szkolnych, bukowe beczki, klepki podłogowe, gięte meble o wdzięcznych kształtach. Jednak chodzi nie tylko o pożytki ekonomiczne. Idzie o doznania serca. Takie doznania przynosi moja – i przecież nasza – bukowa aleja w Grodzieckim Lesie, na przecięciu leśnych dróg, tuż pod Łagiszą, pod Jazowem. Zimą drzewa przypominają wymyślne rzeźby, latem tworzą zielony baldachim, czy też rodzaj monumentalnego stropu świątyni. Tam można odpocząć, zebrać

myśli, uporządkować psychikę.

Zimą w tym zakątku trwało wycinanie wiatrołomów świerkowych. Wiedziałem jednak, że piła i siekiera nie tknie kompleksu bukowego, który w naszym rejonie jest czymś szczególnie cennym. To prawdziwy zabytek przyrody klasy wysokiej. Spacerując romantycznymi ścieżkami leśnymi z moją wnuczką Julią i „drugim” dziadkiem, Danielem obserwuję dzień po dniu jak ten zakątek staje się prawdziwą ptasią filharmonią. Zanurzając się w świat przyrody zawsze na nasze romantyczne spacery brałem ze sobą dzieci, dziś już w grę wchodzi pokolenie wnucząt. Niech od najwcześniejszych miesięcy życia chłoną żywioł natury, której częścią jest człowiek. Wówczas szkolne godziny „wychowania ekologicznego” nie będą martwe, ożyją we wspomnieniach. Podziwiając od wielu lat bukowe sanktuarium, dzisiaj nie siedzę jednak z założonymi rękami. Przywożę z Gorzenia Górnego, z Zegadłowiczowego gniazda, małe samosiejki buka czerwonego. Może zadomowią się w Sosnowcu, czy Łagiszy? Zobaczymy... Wczesną wiosną miliony młodych listków ciekawie spoglądały na świat – tworząc rodzaj delikatnej koronki. Rozliczne pąki wychylały się ku ludziom, którzy do lasu przynoszą żar gorących serc i baczą pilnie, aby nie zaprószyć w nim ognia, grożącego jego unicestwieniem... Teraz liście już pięknie się rozwinęły i tworzą pyszny baldachim, przez który przedzierają się figlarne promyki słońca. Strzeżemy naszych domów, muzeów, obiektów kultu religijnego, strzeżmy tedy także

naszych lasów, naszego wspólnego dobra i piękna. Są one przecież fundamentalnym komponentem naszej egzystencji.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*